

Rok II. **1868.**

Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow.“

rocznie	8 zlr.	— ct.
półrocznie	4	—
ćwierćrocznie	2 „	— „
Pojedynczy numer	— „	20 „

Nr. 14.
5 Kwietnia.

Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową

rocznie	8 zlr.	50 ct
półrocznie	4 „	30 „
ćwierćrocznie	2 „	20 „
W w. ks. Poznańskiem ćwierćrocznie	1 tal.	15 sgr.
We Francji — ćwierćrocznie	6	franków.

Jazygi (Jaszok).

Na równinach Węgier, pomiędzy Dunajem a Cisą mieszkał maleńki lud, który się połączył z madziarami i wydał najpiękniejszy typ ludzi istniejący w Europie. — Lud ten, zwany niegdyś jazygo-sarmackim w późniejszych czasach otrzymał nazwę Jassones, (Jaszok) wywodził on ród od wielkiego plemienia Słowiańskiego, i pierwszy obrał stałe mieszkanie w Węgrzech.

Już za czasów Aleksandra Wielkiego widzimy Jazygów mieszkających tam, gdzie się po dziś dzień znajdują; ale zapewne ich pojawienie się w tej epoce, było tylko czasowe; albowiem Strabon pisarz wiarogodny, udowodnia, jako lud Jazygów zajął dopiero części starożytnej Dacji za panowania cesarza Rzymskiego Klaudjusza. Kiedy Trajan wyruszył na Daków Jazygowie pomagali im przeciwko Rzymianom. Odznaczali się szybkością w biegu, odwagą i uzbrojeniem. Człowiek zarówno jak i koń pokryty był zbroją z łuski metalowej zupełnie zabezpieczającej od razów. Jazygowie z nadzwyczajną zręcznością strzelali z łuku i rzucali dziryt w rozmaitych kierunkach.



J a z y g i.

W pośród ziemi Jazygów, w małem miasteczku Jaszbereny stolicy okręgu, niezależnego prawie od administracji krajowej Atylla król królów wszechwładny pan całej Scytji i Germanji, założył był pyszną stolicę. Tam przyjmował on poselstwo Rzymskie, do którego należał Priskus; ztamtąd wyruszył w pochód wojenny do Galii, Grecji, Italji i t. p.

Nie bez zasady tak historja jak podania, zgodnie mieszczą w okolicach Jaszbereny pierwsze stanowisko Hunów, Awarów i Węgrów. Niedaleko od tego miasta dostrzedz jeszcze można szczątki sławnego okopu, usypanego przez Awarów w Panonji. Ten drugi zastęp najeźdźczy, który zajął państwo Atylli wraz z Longobardami sprzymierzeńcami swemi, nauczył się od nich sztuki sypania szańców okrągłych czyli pierścieni, *Ring*, jak mówili Germanie.

Niektórzy historycy utrzymują, że w pierwotnych wiekach było pokolenie Madziarów zwane Peczeniegi, albo Jassi, które osiadło w okolicy Jazygów, Sarmatów. Te dwa ludy biegłe w strzelaniu z łuku tworzyły za Beli IV. oddzielny korpus zwany S a g i t t a r i i j a s s o n e s.

Inny oddział z plemienia Hunów połączył się z niemi. Byli to Kumani, których część weszła do Europy z Madziarami; ale większa nierównie gromada, złożona z 40.000 rodzin ukazała się dopiero w Węgrzech w roku 1238. Bela król węgierski przyjął ich życzliwie i odtąd nosił tytuł króla Kumanów.

Wrodzona duma tego ludu była powodem częstych ich sporów z Madziarami. Zdaje się że kobiety kumańskie były piękne i lekkomyślne, gdyż dwaj królowie węgierscy Stefan IV. i Władysław I. Kunlaszko (Kuman) zbytniem upodobaniem w kobietach tego plemienia oburzyli na siebie Węgrów. Wreszcie aby zakończyć nieustanne spory poddano ich wraz z Jazygami pod wyłączny zarząd wojewody węgierskiego, który nosił tytuł k a p i t a n a j e n e r a l n e g o J a z y g ó w i K u m a n ó w.

Po wygaśnięciu dynastji Arpadów, te dwa plemiona zachowały wyłączne prawa swoje; ale Leopold I. skarb wyczerpawszy sprzedał tę ziemię wbrew przedstawieniu wojewody, rycerzom teutońskiego zakonu. W roku 1825 dopiero, Jazygowie i Kumani wykupili się kosztem wielkich ofiar i odtąd dawny układ związkowy został znów

przywrócony. Nakoniec prawo z r. 1791 upoważniło ich do przysłania dwóch deputowanych na Sejm narodowy.

Kumami dzisiejsi przyjęli od Jazygów niektóre rysy fizyonomji słowiańskiej; jak tamci cerę mają ciemną, wzrok dumny i namiętny. Silni i barczyści — lubo średniego wzrostu, nadzwyczaj są odważni, wybornie jeżdżą konno i umieją ujarzmiać najdziksze rumaki.

Jazygowie pomięszani z plemionami węgierskiemi, mówią dziś po madziarsku, z oryentalnym trochę akcentem — i stali się piewszymi obrońcami kraju.

RENEGAT
(powieść tegoczesna)

napisał

ADOLF NAŁĘCZ.

(Dalszy ciąg.)

IV. Niewola i Kaukaz.

Władek odbył znaczną część kampanii 1831. Mimo swego młodego wieku, dosłużył się w pułku stopnia podoficera - adjutanta. Był wzorowym żołnierzem, przykładnym w służbie, odważnym w boju. Prędko zbrzydził sobie bankietujące bezmyślne towarzystko starszyzny która przejęta kastowością nie umiała rozszerzyć swojego działania na ogół ludności.

Młody podoficer, z powinności stykając się z żołnierzem, umiał ocenić jego pojęcia i przylegl sercem do ludu, który dostarczał swoich synów, jakby tylko do rozszerzenia sławy oręża szlacheckiego, nie widząc dla siebie żadnych korzyści — Władek ubolewał jak wielu innych, o tym zupełnym zapomnieniu narodu, wyczekującego tylko hasła aby oddać wszystko w zamian wolności osobistej do której wzdychał.

Niskie jego stanowisko w hierarchii wojskowej i dokładne pojęcie karności były naturalne przyczyny, że nie wyjawiał nikomu swoich myśli — pielęgnując je w swem sercu jako przekonanie religijne — Władek z przekonania nie ulegając żadnej nauce lub namowie, uroił sobie własne teorye; był demokratą z instynktu albowiem w zastosowaniu tych tylko prawideł widział zbawienie narodu.

Rozmowy w biwaku, na marszach i obozach, utwierdziły go w jego zasadach myślenia, dlatego też widząc nieochybne zaprzepaszczenie całej sprawy — był ponury, i nieszczęśliwy i choć młody bardzo, szukał w szalonej odwadze niebezpieczeństwa, aby uniknąć i zagłuszyć cierpienia moralne — gdy patrzył się na lekkomyślny tok całej kampanii.

W jednej z potyczek pod Warszawą, wysłany na zwiady, po szalonym ataku, na rekonesans nieprzyjacielski, — dostał się Władek ranny, do niewoli. Niewola to upokarzające położenie w którem człowiek spętany moralnie nie władnie wolno, swojemi myślami i czynami. Niewola wtrącająca istotę, na boskie podobieństwo stworzoną, w stan zwierzęcy, pozostawiając mu członki ciała, na posługi drugich, wyrywając zaś duszę i rozum, których użytek za zbrodnie uważa! Niewola!! tworząca hypokryzie fałsz i zbrodnie w zarodzie, śmierć hańbiącą na polu lub szubienicy w perspektywie, upokarza twoje bezwładne szamotanie się w zabiegach odzyskania wolności twej duszy, która zmęczona ciągłą walką zaumiera w cierpiącem ciele, na chodzącego trupa przekształcając człowieka. Niewola!!! co tamuje energię, tępi odwagę, w szaleństwo zmienia fanatyzm, wesołość w błazeństwo, naukę w głupotę, honor w marzenie, przyjaźń w podejrzenie, a godność człowieka w służalstwo. Nieszczęśliwi co nie są wolni, gdyż śmiech i szyderstwo wroga nuci im bezustannie w bolesnym konaniu ich jestestwa, depcząc niemiłosiernie najwznioślejsze uczucia, które tworzy dusza, a serce czuje! Niewolnicy! skazańcy przeznaczenia!! — wielkie musiały być wasze przestępstwa, kiedy Bóg jako najmiłościwszy, taką wam zesłał karę! Niewolnicy!! nędzne muszą być wasze pojęcia, kiedy znosicie takie męki, — niewolnicy! — bez honoru, duszy i serca, — albowiem nie czujecie deptania na waszych karkach i policzków na waszych licach, których rumieniec przemienił się na krwawą plamę, a grozi być raną i wrzodem dziedzicznym waszego potomstwa. — otwórzcie oczy, a wzrok wasz może dostrzeże szkaradę nagą i doda wam odwagi do śmierci lub walki.

Nieszczęśliwi!! bo niewierni! oni nie słyszą jak tylko świst batoga, i czują tylko razy jego na grzbiecie, — stracili już czucie, a bilmo zasłoniło im obłąkane oko.

Władek, gdy przyszedł do zmysłów, po zaopatrzeniu ran odniesionych w boju, — ujrzał się w niewoli. Śmiechy i żarty otaczających go Moskali, były pierwsze głosy, co go doleciały, drażniąc niemile jego nerwy. Dzikie twarze o wybujałych i zapitych rysach, otaczały jego łoże.

Władek zamknął oczy, aby się uwolnić od tego widoku, który przypominał mu ostatnią scenę w rodzicielskim domu.

Krew uderzyła mu nawałem do głowy, zemdlał zupełnie i stracił zmysły pod ciężarem rzeczywistości, że jest w niewoli swoich wrogów.

Wzruszenie to sprawiło mu gorączkę, a życie jego było w ciągłem niebezpieczeństwie. Matka — ojczyzna — niewola... były jedyne słowa, które dobywały się z jego piersi, wymarzone febrycznym ustrojem jego myśli.

Władek długi czas byl słaby, a gdy wyzdrowiał, przeznaczony został, do odstawienia na Kaukaz, w szeregi moskiewskie.

Jako jeniec przechodził, przez niedawno znajome mu okolice. Te same lasy, gaje, bory, te same łąki i pola, które przebywał zbrojno i wolny w towarzystwie swoich, — przesuwały mu się jakby w żałobie na nowo, lud posępny jak pierwej otaczał jego orszak, gdyż zmienił tylko panów, pogrążony jak przedtem w niewoli i obojętności.

Po dworach fetowano zwycięzców, zwalając, jako nieszczęsny wypadek tę wojnę, na duch rewolucyjny z Francji, któren zaraził młodzież, pierwej tak poczciwą i posłuszną władzy, od Boga naznaczonej.

Nikt nie miał odwagi, nawet biernie okazać niechęci wrogowi. Przeciwnie w wielu miejscach przyklaskiwano tym, co zwyciężyli, uznając ich za oswobodzicieli samozwańczych patrjotów.

Władek cierpiał ogromnie i czuł głęboko upokorzenie, które go co krok spotykało i znienawidził sobie już za młodu, towarzystwo, do którego z urodzenia należał. Nie znając jeszcze dobrze natury ludzkiej, zwątpił o wszystkiem, na widok tchórzostwa i podłości, które go otaczały.

Były chwile, w których za szczęście poczytywał, że niedola wyrywa go z kraju, do którego duszą był przywiązany — a w którym znalazł tyle zawodu.

Z zatrutem sercem, zwątpieniem w duszy i goryczą napojony odbył jak automat marsze na miejsce przeznaczenia.

W tem to usposobieniu przybył na Kaukaz, gdzie jak wielu innych towarzyszy jego niedoli, ubrano go w mundur rosyjski i wcielono do pułku strzelców.

Uległość, jego młody wiek i przyjemna postać, były przyczyną, że po krótkim czasie, uwolniono go od służby szeregowca, — przydzielając do kancelarji sztabowej. W tej czynności był więcej wolny, i miał sposobność poznać bliżej ten Kaukaz, ten grób nienasycony ofiar tysięcy swoich rodaków.

Kaukaz, ta bogata w pamiątki kraina, na której co krok, potrąca wędrownik o zwaliska dawnych mieszkańców, gdzie plemiona i klimaty zmieniają się nagle i niespodzianie, gdzie liczne narody, jako resztki niegdyś potężnych państw, ciągle są w sporze, — jeżeli miłość wolności, nie skupia ich w jedną masę, aby się oprzeć wspólnemu wrogowi, — w tę to krainę potrąciły wypadki biednego Władka, — aby był świadkiem heroicznego patrjotyzmu, jakoteż intryg oligarchów, którzy jak wszędzie bywali tak i są, przyczyną u[illegible]ku narodów i ich niedoli.

W niedostępnych wertepach i połoninach Kaukazu przechowały się dotychczas starodawne obyczaje: osobista odwaga, dziczyzna okraszona duchem awanturniczym średniego wieku, jakoteż skromność właściwa narodom góralskim.

W tej samej chacie gdzie wszystko oddecha nienawiścią ku najezdcy obcemu, gościnność jest największą cnotą jak i powinnością, ten sam góral, który opuszczając swoją familię, przysięga we krwi umyć obrazę nieprzyjaciela, sprzeda bez namysłu syna i córkę do haremu Turkowi, aby tam, wyrwani z łona matki, byli rozrywką, rozpustnych i rozpasałych w rozkoszach bisurmanów...

Wspaniałe pasmo tych gór, rzucone jak podwójny wał ochronny, między Azję i Europę, opiera się o morze czyli jezioro Kaspijskie i o Czarne morze, od dawnych „niegościnne“ nazywane.

Temu już 3000 lat jak cywilizacja sięgała poza przestrzenie Kaukazu. Dzisiaj wszystko się zmieniło. Zwycięztwa Gregów, zabory Rzymian, a później jeniusz chrześcijaństwa, ustaliły już na zawsze i wszechwładztwo ducha cywilizacyjnego Zachodu.

W głębiach niebotycznych skał Kaukazu, natura zostawiła kilka przechodów, które od dawna „kaspijskie albo zelazne bramy“ nazywano. Przez te to otwory, przebiegały szybkim pochodem, narody północnej Azji, jakby lawiny toczące się z gór, rozlewając się po całej Armenii, Assyrji i Persji.

Zwaliska twierdz i wałów o których nawet historya nie podaje nam dat, poświadczają że było despotów oryentu staraniem, powstrzymać nawał dzikich tych hord, które z nieubłaganą energią waliły im trony, potrącając przed sobą spłoszone, zniewieściałe narody.

Zamczysko Wan, mieszkanie letnie Semiramidy, przypomina cuda Palmyry i Babilonu, gdy znów góra Ararat zwraca naszą myśl w czasy potopu. Kasbek, skała Prometeusza, Gouria i Imeretia sprowadza nas do czasów mitologicznych Grecji i do ongi słynnej wyprawy Argonautów, która otworzyła perjod historyczny.

Obrazy okolic, które uderzają nam w oczy, harmonią jak najdokładniej z pamiątkami historycznemi, a które mimowolnie wzbudzają.

Orły i sępy z hałasem obkrążają wspaniałym lotem wierzchołki Elbrusa, a ten jeździec tatarski, wspinający się na strzemionach i zrosły jakby w jedno ciało z koniem, przypomina potomka plemion huńskich, którzy pod wodzą Atili Europę pustoszyły, nie doznawszy klęski aż nad brzegami Soiry.

Ten Abaz, któren śledzi chciwym okiem łatwę zdobycz na brzegu Euxinu, czychając na rozbitki nieszczęśliwych żeglarzy, jest pewnie także potomkiem tych rabusiów i pirotów morskich, którzy morzu czarnemu, już w dawnych czasach nadali nazwę morza niegościnnego, albowiem tylko z bojaźnią przesuwały się przez nie kupieckie okręty, rozwożąc płody przemysłu i sztuk, pięknej starej Grecji.

Kabardyńcy zaś, którzy sami się zowią wyspiarzami, są niewątpliwie, potomkami jakiegoś dawnego narodu, który ustępując falom grożącym potopem, osiedlił się na górach, których szczyty podczas ogólnego zalewu, jakby wyspy sterczały nad prądami zniszczenia — formując tyleż Araratów — wiele było wierzchołków. Najwyższy szczyt pasma gór Elbrusa, wynosi się na 16.000 stóp nad morze Kaspijskie. Każda wysokość ma zmienny klimat i roślinność.

Od szczytu do wysokości 11.000 stóp, wieczne śniegi pokrywają pochyłości. Jest to położenie alpejskie; od tej wysokości dalej w dół, do 7000 stóp, topią się śniegi tylko w lecie, pasterze wyprowadzają tam swoje trzody, jak obeschną trawy ze śniegu i wilgoci; położenie to odpowiada okolicom podbiegunowym.

Dalej w dół, zaczynają wzgórza być zamieszkałemi, a klimat ich równa się północnej Europie. Po tej wysokości zaczyna już roślinność bujniejsza; a winogrona udają się na 3000 stóp wysokości nad morzem. Poniżej jeszcze następują upały podrównikowe, okolice są niezdrowe, a ziemia oblana spadającemi z gór wodami, produkuje indigo, szafran, bawełnę i trzcinę cukrową.

Cała ludność nie wynosi nad półtora miliona, choć przestrzeń jest większa, jak całej dawnej Polski.

Pod względem strategicznym, mocne pozycje i przejścia Kaukazu, ułatwiają Moskalom trzymać na wodzy Turcją i Persją. Mogą oderwać po kilku pochodach całą Anatolię, od reszty posiadłości tureckich.

W pojedynczych utarczkach, zręczność i zwinność górali kaukazkich, zapewnia im nad Moskalami zwyczajnie zwycięztwo, we większych spotkaniach zaś muszą zawsze ustąpić siłom organizowanym i taktyce europejskiej, nie zwyczajni i niechętni do ruchów kombinowanych.

Władek nasz, przybywszy na Kaukaz jako jeniec wojenny i wolniejszy w swych ruchach, będąc lepiej przez przełożonych uważany, oddał się nauce i badaniom, aby odzyskać czas stracony swojej pierwszej młodości.

Starsi koledzy jego, należący do różnych klas ludności, nie odmawiali mu w tym celu pomocy. Byli tam profesorowie pod szynelą żołnierza, doktorowie użyci jako denszczyki, artyści robiący służbę kucharzów — literaci pilnujący magazynów. Byli z różnych stanów i różnego wieku, wszyscy niewolnicy, opłakując stan ojczyzny którą opuścili — nie marząc jak tylko o niej. (D. c. n.)

Aleksander Jan Jabłonowski.

Aleksander Jan Jabłonowski, chorąży wielki koronny, buski korsuński etc. starosta. pułkownik wojsk koronnych roku swego 33 zaś pańskiego 1705.

Rycinę powyższą podajemy jako przykład wielkiej malowniczości stroju polskiego. Z początkiem 18 stulecia kiedy już powszechnie noszono u nas kontusze na wyloty krojem czerkiesko-perskim, a co do zbroji zatrzymano jeszcze koszule i naramienniki stalowe niekiedy bronzowane oraz szersze pasy na wzór wschodnich narodów. Jakżeż pięknie i wspaniale wyglądał taki dostojnik Rzeczypospolitej naszej. Dodajmy do tego swobodę ruchów wolnego człowieka, połączoną z powagą i ogładą, tę śmiałość jeźdźca (żaden bowiem młody szlachcic nie jechał landarą lub bryczką do sąsiada choćby o mil kilka; jakże prześlicznie musiały się wydawać: sejmy, obozy, instalacje biskupów, wjazdy panów do miast jak kasztelanów, wojewodów lub starostów z wojskiem i orszakiem rozmaicie ubranym! Stroju wschodniego właściwość dozwalała a nawet wymagała wielką rozmaitość czasem i jaskrawość barw, które były oznaką i wyrazem dostojeństwa i władzy wyrazem. Takteż tu załączony chorąży koronny jako wielki dostojnik ma na sobie kontusz czerwono-purpurowy.

Strój polski różniąc się smakiem wykształconego narodu od innych wschodnich jest w ozdobach nieprzesadnym; dla tego tu widzimy guzy i szamerowania złote w trzech tylko szeregach, pętlic przyszytych, kołnierz wyłożony krótki wyloty bez obwódki, za sutym pasem orjentalnym sposobem, chustka w drobne kwiaty czerwone i złote. Pod stalową pierścienną koszulą widać żupan biały, blaszki z pendentami na tej koszuli, stalowej rękawicy i karabeli są złote w guście arabsko-tureckim. Z prawej strony u pasa wisi nóż, który nam mimo woli przypomina ów piękny ustęp z pana Tadeusza, w którym wielki nasz wieszcz opisuje używania tej strasznej broni na Litwie, gdzie najdłużej utrzymywały się dawne zwyczaje. Głowa mało podgolona, nie tak jak w poprzednich wiekach, kiedy w potrzebach z Tatarami i Turkami przyjmowano pod tym względem ich zwyczaj a nawet i strój.

Z radością widzimy, że w znacznej części malarzom naszym służą za przedmioty obrazów dzieje polskie, czego także na naszej tegoroczej wystawie sztuk pięknych widzimy znakomite przykłady i to zniewala nas do podawania czasami ubiorów i strojów polskich z ubiegłych czasów.

Pragniemy też w nich wytrwania na tem polu, bo jesteśmy przekonania, że mimo rozlicznych przeszkód znajdą się i zachęcający mecenasi. Dalecy jesteśmy od tego twierdzenia, żeby tylko wyłącznie na polu dziejowo-narodowem rozwijała się sztuka nasza, ale sądzimy, że zawsze powinno to być i będzie jej przeważnym działem z rozwojem malarstwa naszego, a tem samem z wielkim pożytkiem narodu.

Zabytki Żółkiewskie.

W swoim czasie donieśliśmy publiczności o ukazaniu się oddawna zapowiedzianego albumu Żółkiewskiego wydanego na pamiątkę uroczystości odprawionej w Żółkwi dnia 12. Września 1867 r. (Odsiecz Wiednia). Album to, wyszłe w pięknych arkuszowych fotografjach znanego zaszczytnie fotografa tutejszego pana Teodora Szajnoka — jest to wiązanką fotografii, która obznajamia nas: z drogiemi każdemu Polakowi pamiątkami narodowemi w Żółkwi i mieści pomniki i widoki w liczbie sześciu sztuk. — 1) Pomnik Stanisława Żółkiewskiego, hetmana poległego w wojnie z Turkami w bitwie pod Cecorą w r. 1620 i Jana Żółkiewskiego, starosty hrubieszowskiego, synaj pierwszego, zmarłego w skutek odniesionych ran pod Cecorą w r. 1623 — u spodu podpis: „Exoriare aliquis, nostris ex ossibus ultor". (Niech mściciel z kości naszych powstanie) 2) Pomnik Jakóba Sobieskiego, kasztelana krakowskiego, ojca króla Jana III († 1646), 3) Fary Żółkiewskiej, zbudowanej w rynku, na wzgórzu, nasutem rękami jeńców bisurmańskich w r. 1604 przez Stanisława Żółkiewskiego, z widokiem dzwonnicy i kopuł cerkwi bazyliańskiej, 4) Zamku królewskiego, tej ulubionej siedziby króla Jana, rozsypującej się dziś w gruzy; 5) Bramy prowadzącej do ruin zamkowych, nad którą jest z marmuru wyrzeźbiony herb Żółkiewskich (Lubicz), a po drugiej stronie napis objaśniający datę zbudowania zamku, 6) Bramy, zamykającej miasto od zachodu. Kartę zaś tytułową, przedstawiającą króla Jana tratującego Turka, ułożył i wykonał artysta-malarz p, Franciszek Tepa. Jeżeli same te pamiątki, drogiemi są każdemu ziomkowi, to samo album jest najcelniejszym utworem polskiej fotografii, i będzie mogło iść o lepsze z najcelniejszemi fotografiami zagranicy, pod względem artystycznego uchwycenia widoków, trafności tonu i delikatności wykonania. Widoki zamku i obu bram, zdają się być niemechanicznemi kopiami rzeczywistości, ale płodami znakomitego pejzażysty, z tak stosownych punktów i w pomyślnej porze wykonane.



Aleksander Jan Jabłonowski.

Dla bliższego zaznajomienia czytelników naszych z rzeczonym albumem wyjmujemy zeń jeden widok wymieniony tu pod numerem 4 i zamieszczamy go w wykonaniu drzeworytniczem — drugi zaś pomnik Żółkiewskich podamy w numerze następnym.

Ponieważ część znaczna dochodu z rozprzedaży rzeczonych fotografij przeznaczona została przez wydawcę na cel publiczny do restaurowania pomników znajdujących się w podziemiach dominikańskich we Lwowie, przeto tembardziej czujemy się w obowiązku zaznajomienia publiczności z tem wydawnictwem w naszem piśmie.

Pan Szajnok nie ograniczył się na zdjęciu wyż wspomnianych sześciu widoków i pomników, składających album, lecz oprócz tych, zdjął jeszcze następne: 1) Fotografię: pomnika żony i córki Stanisława Żółkiewskiego t. j. Reginy z Herburtów Żółkiewskiej, żony hetmańskiej († 1624) i córki tychże Zofji Daniłowiczowej, babki po matce króla Jana III. († 1634)] żony Jana Daniłowicza, wojewody ruskiego — z podpisem u spodu, położonym przez króla Jana — z księgi Judith 16 i 20: *Vae genti, insurgenti, contra genus meum — Dominus enim omnipotens vindicabit in eis*" 2) pomnika Stanisława Daniłowicza, szwagra króla Jana, zmarłego w niewoli tatarskiej r. 1636 wystawionego przez króla Jana, 3) kaplicy, po lewej stronie nawy kościoła, z obrazem Matki Boskiej, karmiącej Pana Jezusa, pędzla sławnego „Karola Dolce", znajdującego się w ołtarzu tej kaplicy 4) wnętrza całego kościoła, zbudowanego w kształcie regularnego krzyża, z okazałą, w pośrodku 56 łokci wysoką kopułą, w stylu renesansowym, 5) samego głównego ołtarza 6) 56 łokci wysokiej kopuły. Z kliszów tych jednakże, miał być zrobiony bardzo mały użytek, taką bowiem tylko liczbę egzemplarzy miał zamiar p. Szajnok kopiować, jaka się dostateczną okaże dla towarzystw naukowych i archeologicznych, krajowych i zagranicznych. W końcu jednakże uwzględnił szłuszne żądania znawców i miłośników zabytków i skłonił się do wydania drugiej serji, a raczej suplementu powyższego albumu.

Lwowskie Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych i wystawa dzieł sztuki.

(Ciąg dalszy.)

Rozpatrzmy się więc w tej wystawie.

Jak wchodząc do salonu, gdzie jest liczne zebranie, zwracamy zwykle najpierwej uwagę na gości najznakomitszych, tak i tu biegniemy przed innemi ku najcelniejszym utworom sztuki.

Jeden z nich chwyta za oczy blaskiem kolorytu, układem pełnym ruchu i życia, rysunkiem nadzwyczaj śmiałym, fizjonomjami które mówią, oczami które patrzą, postaciami które z płótna występują; a co najważniejsza, tak wymownem oddaniem myśli, że ją odgaduje każdy: nieznawca i nawet nieświadomy zupełnie przedmiotu ani też nie znający mistrza. Mówię to bez przesady i uprzedzenia, a na dowód przytoczę drobny fakt: Zaprowadziłem na wystawę młodego chłopca, który o sztuce nie ma wyobrażenia, o Matejce nic nie wiedział, o Sędziwoju nie słyszał.

Gdy obejrzał wszystkie obrazy, pytam jak mu się podobały? Wszystko bardzo ładne, odpowiedział, ale jest tam jeden obraz, który ma w sobie coś szczególnego, nie można się dosyć napatrzyć na niego.

— Któryż to obraz?

— Przedstawia on jakiegoś chemika, Fausta czy coś podobnego.

— O zgrozo! więc ty nie wiesz, że to jest Matejki Sędziwój.

— Nie wiedziałem, odparł chłopak zawstydzony, ale poznałem że to obraz szczególny.

Takie zdanie, sądzę, świadczy o tym obrazie podobnie, jak świadczyły owe ptaki co się zlatywały aby skubać winogrona, wystawione, jak nam starożytne dzieje opowiadają, przez któregoś z greckich malarzy.

Są ludzie, którzy z pretensją do znawstwa albo nawet rzeczywiście ze znawstwem rozbierają obraz, szczegółowo i dla tego, że są znawcami, wstydzą się chwalić bezwarunkowo, więc szukają coby zganić można. Jeden powiada, że klęczący Sędziwój gdyby wstał, toby rozbił głową ramy obrazu. Matejko nie potrzebuje mojej obrony. Ale pozwolę sobie zrobić uwagę, że nie widzę potrzeby, aby wielkość ramy zostawała w stosunku do figur. Dla czegoż nie mówią, że na innym obrazie młodzieniec leżący i anioł siedzący koło niego, takżeby się nie zmieścili w ramach, gdyby im przyszło powstać?

Inny zarzuca że ogień z komina nie rzuca reflexów. Na to bardzo trafnie odpowiedział kto inny, że w biały dzień nie znać reflexów z płomienia palącego się w kominie. Obaj ci panowie, co się tak sprzeczali, władają pędzlem — więc ja zwijam chorągiew przed nimi; ale pytam: któren ma słuszność?

Otóż, ponieważ dziś jest epoka parlamentaryzmu, więc idę tu trybem parlamentarnym za większością głosów t. j. za tym, który malował i za tym, który się z nim zgadza w sposobie oddawania reflexów, są to dwa głosy przeciw jednemu, któren chciał, aby w biały dzień bił z kominka reflex na izbę.

Inni zarzucają, że na obrazie tym jest ciżba postaci, nadmiar effektów, natłok rzeczy domagających się, każda za siebie, bardzo pilnej uwagi od widza.

To prawda. Ale czy to wada? Czy to bogactwo szkodzi obrazowi? Nikt nie zarzuci, że kompozycja jest wadliwa, każdy uderza



Widok zamku królewskiego w Żółkwi.

czołem przed tem użyciem barw, które się iskrzą, bielą, błyskają a przecież nie rażą i spływają w najlepszej zgodzie w pełną życia, pulsującą i ciepłem ziejącą całość.

Lecz pomówmy jeszcze słów parę o niektórych szczegółach. Robota Matejki chociaż jest jakby od jednego rzutu ujęta w karby rysunku i koloru, to jednak jest nader pracowita, w drobiazgach pilnie wykonana, wystudjowana i artystycznie i historycznie. Tam nie masz anachronizmu, nie masz zaniedbania, nie masz fantastycznych dodatków — jest prawda. Jedno ośmieliłbym się zarzucić, jednegobym sobie życzył — trochę więcej przestrzeni między postaciami. Wprawdzie mogło być trochę ciasno dla króla z orszakiem w izdebce alchemika, ale są, zwłaszcza w grupie środkowej król i kilku dworzan za nim zanadto mało odróżnieni od siebie pod względem oddalenia.

Wiadomo, co pisali cudzoziemcy o Matejce, a między innemi co wiedeńskie pisma mówiły o Sędziwoju. Przebijał się w tych krytykach, dosyć surowych, gniew że Polakowi musieli oddać palmę przed swoimi malarzami. Wiedząc, że Matejko nie wiele był po obcych akademjach, zarzucali mu brak szkoły, a jednak nie mogli zaprzeczyć, że on zapowiada nową erę w malarstwie, toruje nową drogę — on będzie sam szkołą.

To nam powinno wystarczyć.

Od tego klejnotu naszej wystawy przejdźmy do drugiego — zupełnie w innym rodzaju, pierwszorzędnej wartości klejnotu — a tym jest portret żeński przez H. Rodakowskiego.

Cóż mówić o tym, którego Europa zaliczyła do pierwszych portrecistów swoich — boć paryzkie wystawy, to europejskie wystawy iwieńce tam rozdawane są wieńcami całej Europy.

Mieliśmy jeszcze raz widzieć na tej wystawie drugi portret Rodakowskiego, ten sam który w Paryżu zjednał mu poklask. Żałować trzeba, że go nie ma. Wystawianie takich obrazów to nauka, więcej warta niż całe kursa estetyki. Co do tego obrazu, który jest na wystawie, sądzę że powinien być trochę wyżej umieszczonym. Zyskują wprawdzie na tem artyści i miłośnicy, bo mogą z bliska studjować ruchy pędzla Rodakowskiego i sposób jego użycia. Dla większości jest lepiej nie widzieć tego.

Wprawdzie tak, jak teraz obraz jest ustawiony, może przypatrujący się czytać w oku ten wyraz duszy spokojnej i pełnej godności, i może się zachwycać to zgodnością wyrazu w całej postaci, rozlaniu duszy po całem ciele, nie fizjonomja sama tu wówi, ale cała figura jest fizjognomją. Gdybyś zakrył twarz a oglądał utoczenie ramion i układ ręki, wtedy jeszcze nie tylko byś musiał powiedzieć, że to ciało żywe, dotykalne, tetniejące, plastyczne, ale mógłbyś odgadnąć z tego charakter jaki się musi wyrażać w twarzy. Ta jednolitość postaci jest skutkiem daru kompozycji, co zwykle uważają za rzecz zbędną w portretowaniu, o czem najczęściej nikt nie myśli nie tylko z tych co oceniają portrety, ale z tych co je malują. Portret musi być także komponowanym, a dobra kompozycja jest tu trudniejszą niż w innych obrazach. Obok mistrzostwa w technice, jest to właśnie najgłówniejszą zaletą Rodakowskiego.

III

Kossaka. Targ koński na Pradze jest trzeciem z arcydzieł które ozdabiają wystawę. Jeżeli mówimy, że jest trzecim to nie dla tego, jakobyśmy te dzieła klasyfikowali i chceli stawiać jedno niżej drugiego, owszem jesteśmy zdania, że każde z nich jest w swoim rodzaju pierwszem. Nie zatailiśmy tego nawet, że w obrazie któryśmy postawili na pierwszem miejscu tj. w obrazie Matejki upatruje ścisła krytyka artystyczna niektóre braki. Żadne z dzieci najgenialniejszych twórców nie jest wolne od zarzutów.

Słyszeliśmy zarzuty czynione Matejce i czytaliśmy nawet takowe nie ujęły one jednakże temu artyście powszechnie przyznanej zalety genialności. Genialność ta objawia się tak w kompozycji jako też i w sposobie wykonania, nie możemy tutaj pominąć jeszcze tej uwagi dzienników obcych, które zarzucając Matejce brak szkoły — przyznały, że on kładzie fundamenta do nowej szkoły. Rodakowskiemu nie zrobił nikt tego zarzutu; należy on do pewnej szkoły, niestworzył nowej ale jest jednym z mistrzów w swojej szkole. Podobnie jak z Rodakowskim ma się rzecz z Kossakiem. Dosyć przypomnieć że jest uczniem Verneta i to takim uczniem, o którym Vernet powiedział: „że spokojnie by umierał gdyby Kossak olejno malował". Uważał go więc Vernet za godnego siebie następcę. Kossak maluje akwarele, i to cała jego wada; nie dla tego iżby je źle malował, ale dlatego że te same obrazy malowane olejno przyćmiłyby może nie jedną już uznaną znakomitość w malarstwie. Kossak jest pomimo tego w swoim rodzaju pierwszorzędnym malarzem. Jego targ na konie jest to istny chaos jarmarczny w który twórca obrazu wlał harmonię jakoby rószczką czarodziejską. Od najnędzniejszego konia żydowskiego aż do najszlachetniejszej rasy, wszelkie rodzaje wszelkie temperamenta koni są tutaj uwydatnione, każdy z nich choć tylko w części widzialny ma swoją właściwą cechę rzekłbym fizjognomię. W całym obrazie jest ruch tak żywo wystawiony a pomimo największej rozmaitości typów ludzkich i końskich jest przecież tak uwidocznione zajęcie wszystkich jedną i tą samą sprawą, że patrząc na obraz zdaje się jakobyś słyszał ów chaotyczny gwar jarmarczny ludzi targujących i koni rżących.

Komitet znawców Towaszystwa Lwowskiego umieścił ten obraz, ile nam wiadomo na liście zaproponowanych na premię dla członków Towarzystwa. Staje tam podobno na przeszkodzie niestety bardzo ważna okoliczność t. j. że obraz taki aby był dobrze oddanym na rycinie wymaga również mistrzowskiego rylca jakim jest pędzel któren go malował. Na zjednanie sobie takiego rytownika nie ma Towarzystwo w obecnych stosunkach dostatecznych środków. Oraz trzeba by posłać do Monachium Berlina albo Paryża dla zrobienia odpowiedniej ryciny. Na takie dzieło nie może się jeszcze zdobyć nasz kraj.

(D. c. n.)

Dumka poety.

Głuchym stepem, czarnym szlakiem,
Gonię orła, lecę z ptakiem...
Co raz wyżej
Lot mój chyży
Wzniecam w górę; błędnem okiem
Szukam doli — by pomrokiem
Wnet zczernieje
W dni nadzieji,
I ni blasku w pośród świata, —
Ni uścisku z ręki brata!
Żegnaj, lądzie, burzą gnany;
Wnet pochłoną cię bałwany...
Brzeg urwiska
Wodą tryska...
Na czółenku w świat pobiegnę,
Aureolę tam dosięgnę!
Tylko skoro!
Tam wesoło,
Gdzie jaskrawe zorze słońca,
Gdzie do kresu nie ma końca,
Tam gdzie miłość wiecznie żyje,
Gdzie obłuda się nie kryje;
Zanieś wietrze,
W kraje lepsze!
W kraj marzenia i urody,
Dalej, łódko, płyń przez wody!,.

1868. *J. Zyg. Do....*

NOC KSIĘŻYCOWA.

Gdy widzę niebo czyste, pogodne,
I to błękitu jasne przestworze,
Tak zaniedbane jak szyby wodne,
Myśl mą i ducha skłaniam w pokorze.
I patrzę w księżyc, co z za obłoku
Rzuca swe światło na ten świat niski,
A jego promień przedstawia oku
Srebrne osłony, szmaragdów błyski;
I gwiazd tysiące wśród chmurek mglistych
Patrzy się w niego srebrzystem okiem,
Tworząc tysiące świateł przeczystych,
Nie zasuniętych ciemnym obłokiem;
A noc urocza, jak sen spokojna,
Otwiera myślom marzeń krainę,
Widok natury, co w dary hojna,
Spokój wprowadza w myśli dziedzinę,
Albo też w zachwyt, co duszę pieści
I harmonijny wieniec jej splata
Z czarów wspomnienia, gdzie się łza mieści;
A gdy ułudnie z nadzieją zbrata
Pamięć przeszłości, to dłonie obie
Wyciągam drżące, i to złudzenie
Pragnę uchwycić, zatrzymać sobie,
By wiecznem było me upojenie!
Albo też myśl ma sięga wysoko,
O drugie światy księżyca pyta;
I wtenczas jasność widzi me oko,
Na tle błękitu jutrzenkę wita;
I wtenczas niemoc umysłu kruszę
I badam tajnie, zwołuje czary,
A jasnem światłem księżyc w mą duszę
Rzuca cudowne promienie wiary!

Fr.

Czamarkiewicz i Cylindrowicz.

— Jak się masz, Stefciu?

— Ot tak po mału, — nie najlepiej!!

— Cóż takiego ci dokucza, — pewnieś zakochany.

— Masz mnie za studenta! — któż teraz się kocha?! dziwaczne posądzenie!!! przecież mam rozum.

— Ależ bo i rozumni czasem szaleją; — myślałem, że cierpisz coś podobnego.

— Boże uchowaj, mam zdrowe zmysły; — jestem w złym humorze — bo mam pilny interes!

— Coś pewnie ważnego!? nie chcę być ciekawy!

— Nic tak ważnego! wcale mi nie przeszkadzasz, idę do krawca...

— Dziwne zdarzenie, ja także idę do krawca...

— A to poco? pewnie potrzebujesz kostiumu wizytowego?!

— A tak, idę... zamówić czamarkę.

— A ja potrzebuję fraka!

— Szkoda, żeśmy nie jednej talii — pomienialibyśmy się na chwilę potrzeby.

— Wielka — wielka szkoda — oszczędzilibyśmy sobie wydatków.

Obaj młodzi ludzie — roześmiali się po tym krótkim dyalogu do rozpuku.

Pan Cylindrowicz, co chciał obstalować czamarkę, był to młody człowiek, na pretensji na eleganta — lwa — modnisia, i należał do tak nazwanej „złotej młodzieży“, która w niecierpliwości zgonu ojca — czerpie swe dochody na Wekslarskiej ulicy — a czasem fałszuje nawet i podpis swego rodzica lub „brata.“. Skończony prawista, siedzi już lat cztery we Lwowie i przygotowuje się do egzaminów, których nigdy nie złoży. Studja swe odbywa w kawiarni Wiedeńskiej, u Rotlendera, lub kasynie. Mizdrząc swoje wymokłe i zwiędniałe wdzięki do panien zamożnych w pos[illegible] chciałby zdobyć pan Cylindrowicz i przyjąłby miejsce sekretrza [illegible] iale, żeby nie musiał tam pisać i trzymać godziny kancelaryj[illegible] towałby się może urzędem kontrolora w banku Angielskim, aby tylko nie trzeba rachować, — wstąpiłby do Towarzystwa ogniowego, żeby mu za darmo dobrze płacono, a dyurnista o jednym złotym dziennie — jego wyręczał. Do Towarzystwa kredytowego nawet by kompetował, żeby jaki plebejusz był mu w urzędowaniu usłużnym.

Pan Cylindrowicz ma do tych pretensyj wszystkie zalety — jest modnisiem, dobrze tańczy, dobrze jest ułożony, nie bawi się w politykę, jest synem obywatelskim, eo ipso do tych zakładów najwłaściwszy — że czytać i pisać dobrze nie umie, choć skończył prawa, co wcale jednakowoż nie zawadza, gdyż krótka praktyka da mu rutynę — a tymczasem może go zastępować — jakiś tam dorobkiewicz.

Pan Cylindrowicz przeznaczony na wyższe stanowiska, choć czytać i pisać nie umie, to bagatela — to każden dureń potrafi, — ale znaleźć się w salonie — to sztuka, dobrze polkować — to zasługa!! z gustem się ubrać — to zdatność prawdziwa — lada kiep na to się nie zdobędzie; więc pan Cylindrowicz ma pole przed sobą. Ręczę, że jak zbankrutuje, będzie Verwaltungsratem — albo opiekunem płatnym zakładu jakiego sierót — fundacyi familijnej datującej się od Adama.

„Il faut le lancer dans le mode, ce pauvre Jules — il est ruiné, pour nous“. A Julko tak protegowany — jednym skokiem zostanie płatną powagą kraju.

Niech żyją modnisie Cylindrowicze!!
Vivat — Julki, Gucie i złote panicze!

Pan Czamarkiewicz inną idzie drogą, gdyż jest synem urzędnika Niemca. Nosi czamarę, aby udowodnić ubiorem, że się zupełnie spolaczył. Wygaduje na Niemców, złorzeczy Moskalowi i pogardza Rusinem — i to wszystko z wielkim zamachem i energią przekonania.

Pan Czamarkiewicz, jako patrjota, nienawidzi w sercu frakowiczów i uważa za śmieszność, studjowanie w ułożeniu krawatki lub rezonowanie nad formą pantalonów, — jest sobie „prosto z mosta“ — prawdziwy Polak: co w sercu, to na języku.

Dla Julka Cylindrowicza jest pobłażliwy co do fraka — albowiem Julko ma konesanse, które menażować trzeba.

— Poco ci do djabła fraka? — zapytał się Cylindrowicz Stefcia...

— A tobie na co czamarki!? odparł Julkowi, śmiejąc się Czamarkiewicz.

— Mam ważną wizytę; koniecznie muszę być przebrany po polsku.

— Rzecz prawdziwie dziwna; taki sam spotkał mnie przypadek, muszę zaprezentować się we fraku.

— A to dlaczego?! powiedz mi szczerze, kochany mój Stefciu!

— Owoż przed tobą nie mam sekretów; staram się o miejsce w Wydziale, a że sam wiesz, że Wydział inspirowany od naczelników, nie lubi strojów narodowych, uważając to za pajacerję i nielojalność demonstrującą — więc trzeba mi fraka, aby się przedstawić tym panom — nie drażniąc ich nerwów.

— Prawdziwie, rzecz nadzwyczajna!! w tym samym i ja położeniu, i z tej samej przyczyny szukam za czamarką!... Którego to dziś mamy?... Postawmy na loterję datum dzisiejsze, twoje lata i mój wiek, uformuje się nam niezawodnie terno. Co za zbieg okoliczności — nie wierz że tu w fatalność!!

Obaj przyjaciele roześmiali się do rozpuku — drwiąc sobie z fraków, czamarek, naczelników, frakowiczów i dostojników, co lubią stroje narodowe.

Julko przerwał pierwszy wesołe żarty.

— Ja mój Stefciu, mam nadzieję dobrze się ulokować w Towarzystwie ogniowem — owoż wiesz że tam góruje czamara. Hrabina N. i starościna L. namówili mnie, abym na godzinę poniósł już tę ofiarę — związał się czamarą i okuł się w polskie buty, i zaprezentował się tym pisarzom panom. A resztę już one dobiją — więc szukam czamary — buty mam zaś te co mi służą do polowania!!

Za dni kilka Julko i Stefcio, obaj przystrojeni — zeszli się przypadkiem u Rotlendera.

Fatalny przypadek zrządził — że dostojnik frakiewicz zobaczył Julka przebranego po polsku a dostojnik koutuszowicz, Stefcia postrzegł we fraku.

Obaj dostojnicy lojalny i demonstrujący — zdumieli na widok im niespodziany.

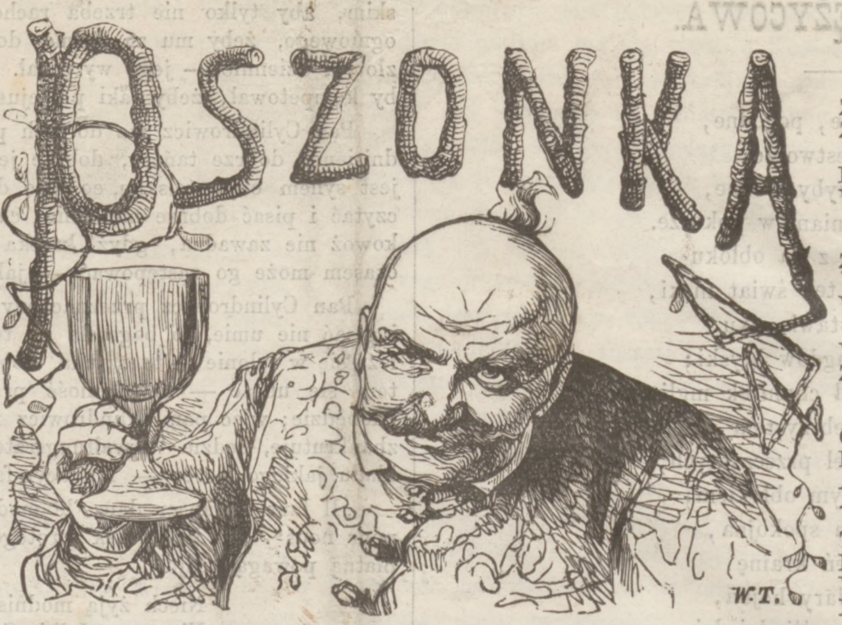
Kontuszowicz wrzasnął, spluwając na ziemię. — U djabła panie Stefanie, coś dzisiaj jesteś fircykowaty nie spodziewałbym się od niego tej maskarady.... trzasnął drzwiami i wyszedł złorzecząc.

Dostojnik frakiewicz patrząc na Julka, wsadził binokle na nos swój tatarski i wycedził szyderczo te słowa:

„Monsieur Jules! vous vous encanailler“

Lotem błyskawicy — rozeszła się historya maskarady.

Julko i Stefcio usiedli na lodzie. Dobry ich przyjaciel — podsłuchawszy ich rozmowy — jak wszyscy przyjaciele nad Pełtawią — sam konkurując o miejsca — podsadził im stołka rozsiewając przesadnie zamiary Julka i Stefcia.



W albumie współpracownika z dyletantyzmu śp. „Śmieszka.“

Jasiu, Jasiu, „kto zniweczy,
Kto sam siebie się zaprzeczy,“
I kto kornie dziś do tego,
Co go smagał tak przed laty,
Sam się zbliża i dla niego
Pisze wiersze, inseraty:
„Niechaj wodę w wino zmienia,
Niechaj tworzy chleb z kamienia,“
Z starych nowe madrygały,
I parodyj foliały,
Niech z barana wołem stanie,
I „kapusty“ niech nie jada:
Ten, dalibóg, wierzaj, Janie,
Wiarę na wiek już postrada.
Tak Ci prosto prawi z mosta
Nie-Uriel Nie-Akosta.

Prima-Aprilis.

Zdawna to bardzo, od wieku w zwyczaju
Zwodzić się wzajem w dzień Kwietnia [pierwszego,
Bo ponoś nawet jeszcze Ewę w raju
W tym dniu zwiódł szatan i przywiódł do złego.

Że jednak człowiek, gdy w czem za- [smakuje,
Wiecznie by w życiu powtarzał co- (dziennem,
Więc też i w dzień ten tak rok obfituje,
Że wciąż on prawie na porządku [dziennym.

Gdy żona męża wystrychnie na dudka
I do innego milczkiem się przymili,
A mąż ich zejdzie — na to racja krótka:
—To nic, nic, duszko, to Prima-Aprilis.

Tak wsze nadzieje i płonne marzenia
Na lepsze kiedyś, pomyślniejsze chwile
Wszystkie dnie nasze do życia skończeni,
Niczem jak tylko li Prima-Aprile!a

Na gruzach.

(Epizod z partyzantki 1863 r.)

napisał

Aleksander ....

(Dokończenie.)

Teraz wam mogę mego bohatera
Pokazać w polskim obozie — w mundurze
Bardzo przystojny jest... Obóz się zbiera,
W powietrzu jakąś piorunową burzę
Czuć — a od lasu czerń jakaś się wali —
Baczność! — do broni! — marsz! — i na moskali.
Bitwa!!...
.....hej — życie kto z was czuje w piętach
Niech leci w stronę gdzie polska granica!
Chmielnicki racyą miał, że w królewiętach
Zapał trwa krócej niźli błyskawica —
W polskich sercach widać tylko nogi...
Dzielnie zmykają! a plac wzięli wrogi! — wrogi.

Chciałem opisać bitwę — z krwi i kurzu
Zrobić okropną rzeź! — lecz polskie roty
Pierzchły — a bajki pisać wam o tchórzu
Usposobienia nie mam i ochoty —
Szlachcice wielkiej nie mieli odwagi;
Na placu został trup obdarty — nagi.

Kozak schylony na koniu, w przelocie
Zawadził laurem o mózg gladjatora! —
I kawał czaszki zatkniętej na grocie,
Z kozaka zrobił hijenę, upiora!...
Kością tej czaszki o grot lancy dzwonił
I tych co przed nim uciekali — gonił.

Lecz wtem, od lasu, w czerwonej ułance
Ktoś zwrócił konia i wpadł na kozaka
Jak burza — jednem cięciem odbił lancę,
A drugiem płatnął w łeb, Zawadyaka
Szeroki widać miał pałasz — stalowy!
Na koniu został kozak — lecz bez głowy.

Koń czując ciężar trupa na swym grzbiecie,
Zląkł się i nazad uderzył z kopyta —
Doniec przedstawił się ruskiej widecie
Bez głowy! — ręką kulbaki się chwyta,
Potem się kłania i ku ziemi chyli...
Było to bowiem dzieło jednej chwili.

Bohater sceny tej widząc tymczasem
Wrażenie, jakie zrobił na kolegach
Bez głowy doniec, czekał ich pod lasem
Lecz przerażenie w moskiewskich szeregach
Było tak wielkie, że już nie czekali
Drugiego cięcia tej ręki i stali...

Wreszcie Ataman dał znak do odwrotu
I pierzchła szajka, krzycząc straszne hura!
Kozak od Mewy nauczony lotu
Jak błyskawica znika — kurzu chmura
Została tylko po nich i za niemi...
Tułów i głowa kozaka na ziemi.

Stefan — on bowiem był sceny działaczem
Widząc się z trupem sam na placu boju,
Najprzód się w koło obejrzał cichaczem;
Moskali widać nie było, w spokoju
Zdały się ziemia i niebo oddychać —
Przed nim i za nim nic nie było słychać.

Nie wiedział co z sobą zrobić — ambaras
Niemały, zwłaszcza w owych smutnych czasach,
Kiedy Dyktator i jego sztab cały
Szukali wroga gdzie nie był — po lasach.
Zresztą już Stefan nie miał przekonania
Po tem co widział wracać do powstania.

Są nieszczęśliwe godziny żywota,
Gdzie nikt nie poda ręki człowiekowi, —
Choć pierś ból krwawi straszny i tęsknota.
Pan Stefan zdał się w opiekę losowi
I czekał co z nim zrobi — na kulbace
Siedząc, budował na lodzie pałace!

Szczęśliwym trafem dla imaginacyi
Naprzeciw niego stał pałac gotowy,
Z powierzchowności gust arystokracyi
Zdradzał — skoczywszy po rozum do głowy
Szukał gościny, gdzie komin się kurzył —
Partyzantowi los nie źle usłużył.

Skręcił więc konia i ruszywszy kłusa
Prosto przede dwór zajechał — z postaci
Panny go wzięły za bożka Phebusa;
Konfederatką ujął szlachtę braci —
Zamek był bowiem pełny, gdyż ciekawy
Tłum zjechał słyszeć o losie wyprawy...

A że mój rycerz, był nie tylko świadkiem
Ale jedynym batalii autorem.
Więc opowiedział szlachcie, jak przypadkiem
Sciął kozakowi łeb, który pod borem
Leży i oczy wciąż otwarte trzyma
I zda się pytać co to jest? — oczyma!

I byłby może w dalszym mówił toku
Jako Dyktator pierzchnął... — lecz szlachcice
Co z rozczulenia mając łzy w oku
I mając w rękach nalane szklanice,
Nie dali skończyć mu — Blagiery stare,
Na Dyktatorze budując swą wiarę.

Wiarę, że wkrótce weźmie w łeb powstanie
Jeżeli Moskwa, Sztab i Dyktatora
Zdusi jak hydrę — i że już nie wstanie
Polska z chłopami.., której jak upiora
Bali się, zresztą na krzyżu przybity
Straszył ich, Chrystus Rzeczypospolitej.

Starym zwyczajem szlachta choć bez szabli,
O polityce rezon miała wielki! —
Z czupryny ogień już palił się djabli,
Nowe co chwila wnoszono butelki
Dla animuszu — i jak zwyczaj święty
Każe, przy szklance sejm był rozpoczęty.

Zaraz szlachetka co z zadartym nosem
Siedział ukryty w kącie przyczajony,
Wstał — i przy szklance nad ojczyzny losem
Zaczął się łzawić — okropne androny
Mówiąc bez sensu, doszedł wprost do wniosku
Że siła Polski — jestto bagnet z wosku.

Stefan mu przerwał dyskurs w polityce
O kosynierach wtrąciwszy nawiasem...
Lecz jakby piorunem wpadł między szlachcice
Wszyscy powstali — wrzawą i chałasem
Na mówiącego Stefana napadli
I swoje veto uroczyste kładli.

Veto! zachrypnął jeden, ta ojczyzna
Wasza z chłopami jest djabła nie warta,
Zresztą panowie! każdy niech mi przyzna
Komu jest znaną dziejów naszych karta
Że w Polsce szlachta zrodzona do rządu
Taki jest sposób mojego poglądu...

Na tem już kończę pieśń tę — sąd dziejowy
Wywlecze z trumien kiedyś przebutwiałe
Grzechy i zbrodnie wasze! — okowy
Żelazne ciśnie wam, skarłowaciałe
Plemię przeszłości, o pierś waszą twardą
I sąd ten dziejów — przeklnie was pogardą!

Koniec.

SPIS PRZEDMIOTÓW:

J. Osiecki, wydawca. Redaktor odpowiedzialny: Dr. H. Jasieński. Z drukarni E. Winiarza.